

# Szeptownicy. Zguba

Autor: Piotr Grochowski

– Nie do uwierzenia, psiakrew – warknął Logan Zolt, zatrzymując się i kręcąc głową. Pierścienie wplecione w jego długą czarną brodę zabrzęczały, uderzając o siebie. – Mógłbym przysiąc, że dzisiaj już byliśmy wśród tych skał. Wygląda na to, że się zgubiliśmy.

– Nie może być, drogi przyjacielu... – Dobiegł go zza pleców niski głos.

Logan odwrócił głowę, zmrużył oczy i spojrzał na swojego towarzysza.

Potężny Solosjanin badał wzrokiem okolicę. Kręcił prawie w całości wygoloną głową, a pozostawione na potylicy trzy długie warkocze objęły mu się o ramiona. Na jego skórze, kolorem przypominającej dębową korę, krasnolud nie dostrzegał ani śladu potu. A dzionek był wyjątkowo parny.

„Cholerny smagły dzikus z pustynnego, zapomnianego przez bóstwa kraju”, pomyślał o nim Logan, kiedy spotkali się pierwszym razem. Czas pokazał, jak bardzo się mylił. Czas potrafi zmienić wszystko. Amhar Idr Tyllos z krain oddających cześć Słońcu. Dla towarzyszy na cesarskich ziemiach po prostu Amarant. „Pewnie jest księciem lub co najmniej spadkobiercą potężnej starożytnej rodziny, a jego pojawienie się po północnej stronie Żelaznych Gór było zapewne jakimś kaprysem lub może honorową misją. Taaa... I tak mi nigdy nie powie, jak jest naprawdę”.

Uśmiechnął się pod nosem i rzucił pogodnie:

– Ciesz się niezmiernie, że nabierasz naszych zwyczajów, ale drwiny nadal słabo ci wychodzą, Am.

Ciemnoskóry mężczyzna uniósł brwi, wyrażając zdumienie.

– Ależ chyba źle mnie zrozumiałeś. To nie był żart, ani nawet jego próba. Kroczę spokojnie, w ślad za tobą, wszak znajdujemy się w górskim terenie. Księgi wyraźnie mówią, iż krasnoludowie od zarania dziejów posiadają niezwykłą więź z Matką Gór, będąc jej najukochańszymi dziećmi. – Przy ostatnim zdaniu Amarant lekko się skłonił, jakby oddając hołd.

Logan parsknął:

– I założyłeś, że ja, *Dziecię Gór*, nijak nie zabłądzę? – Cmoknął i dorzucił: – Cóż, widać, jako kompan trafił ci się, drogi przyjacielu, krasnolud niepasujący do tego wzniesłego obrazu.

Solosjanin milczał, więc Logan kontynuował:

– Nie każdy z nas urodził się w Żelaznych Górach. – Mówiąc to, skierował swój wzrok na południe. Potężny łańcuch górski, zasłaniając połowę nieba, wznosił się nad sosnowym lasem, w którym się znajdowali. – I nie dla każdego Matka Gór była szczodra w cudownych

Darach. A opowieści, co to do was dotarły daleko na Południe, trzeba umiejętnie analizować i odzierać z legend.

Zapadła cisza. Krasnolud zamyślił się.

– Nie chciałem cię smucić, przyjacielu – zaczął Amaranant.

– Ach, dajże spokój, Am. – Przerwał mu Logan, wyraźnie rozbawiony, a drobna cząstka nostalgii i wspomnień zniknęła w jednej chwili. – Nie gadaj głupstw. Nie jestem smutny – dodał i zmarszczył brwi – ale zaczynam być z lekka zaniepokojony. Pora już późna, a zbiera się na deszcz. Jak nie odnajdziemy szlaku, przyjdzie nam spędzić tutaj noc.

– Orkowie...

– W rzeczy samej. – Logan Zolt oparł dłonie na stalowej głowicy bojowego młota. – To ich teren i ich ukochana pora. Zaklinaj swoje Słońce, by jak najdłużej stało na nieboskłonie, a ja spróbuję zasłużyć, choć w minimalnym stopniu, na miano *Dziecięcia Gór*.

\*\*\*

Amhar Idr Tyllos był kontent. Nareszcie to, czego uczono go od najmłodszych lat w rodzinnych stronach, odnalazł tutaj, w kraju rządzonym przez cesarza.

„Promienie słoneczne potrafią dotrzeć prawie w każdy zakątek świata, by ogrzewać ludzkie ciało, duszę i serce. A tam, gdzie jest to niemożliwe, czyny ludzkie potrafią przenosić moc promieni słonecznych”, powtórzył w myślach słowa wędrownych mędrców.

Ktoś potrzebował pomocy, więc wyruszyli. Komendant nie wspomniał o żadnej zapłacie i, choć wielu kompanów z Roty mówiło o tym, że wynagrodzenie nie zawsze widać na pierwszy rzut oka, dla Amhara było to nieistotne. Ktoś potrzebował pomocy.

Ingo z Geinriz, wasal Vernariosa von Hertz, zasiadającego na książęcym tronie Sudlandu<sup>ii</sup>, zaginął w skalistym terenie na północ od Żebraczej Połoniny. Rycerz ze swoim poczem, liczącym prawdopodobnie pięć osób, odłączył się od sił prowadzących rajd przeciw orczym zwiadowcom. Nie znaleziono zwłok, a szlachcic był wysoko urodzony, więc zarządzono poszukiwania. Chętnych do nadstawiania karku było jednak niewiele, wszak w okolicy przemieszczały się spore siły wroga, a cesarscy szpiedzy wspominali ponoć, jakoby czarnoksiężnicy od Wrońca byli widziani w pobliżu.

Amhar nie miał w zwyczaju narzekać na zmęczenie, deszcz i duchotę, która następowała przed gwałtownymi górskimi burzami i po nich. Nocą bywało naprawdę zimno, ale ta zmienność temperatur była czymś, do czego przywykł.

Trzeci dzień poszukiwań zastał ich u wylotu małej skalistej doliny, pośród szczelin i przedziwnych kamiennych tworów przypominających stworzenia z bajek i koszmarów. Od poprzedniego dnia, gdy Logan stwierdził, że zgubili drogę, niewiele się zmieniło. Starali się wędrować na północny wschód, trzymając się planu, tyle że tak po prawdzie, nie do końca

wiedzieli, gdzie dokładnie się znajdują. Ostatniej nocy słyszeli granie tarabanów – orkowie byli blisko. Cały dzisiejszy dzień padało, wiatr niósł od gór ciemne, nisko zawieszane chmury.

Logan Zolt był doskonałym towarzyszem. Inni psioczyliby na pogodę i niewygody, on potrafił śmiać się w deszczu lub spiekocie i drwić z bolących nóg. Chociaż, jak Amhar podejrzewał, wytrwałych krasnoludów zapewne nigdy tak naprawdę nie bolały nogi. Jego kompan zmartwił się trochę zgubieniem szlaku, ale Solosjanin nie przejmował się tym. Przecież boginie i bogowie, którym wytrwale składa się podarki i których imiona wyśpiewuje się w modlitwach, koniec końców zawsze są przychylni.

Na ślad rycerza natrafili wieczorem. Znaleźli go w skalnej niszy. Rannego, ale umiejętnie opatrzono przez giermka – jedyne go sługę, który ocalał z całego pocztu.

Krasnolud odbył krótki zwiad i zaproponował pozostanie w tym miejscu na noc. Zagubieni przetrwali w kryjówce, wedle ich słów, dwa dni. Nocny marsz byłby samobójstwem, ale za dnia sprawy powinny wyglądać o wiele lepiej.

Wartowali na zmianę. Znów słyhać było dudnienie bębnow. Po północy Amhar nie obudził Logana i trzymał straż aż do świtu, wiedząc, że jego przyjaciel musi być w pełni sił. O siebie się nie martwił – był wystarczająco wypoczęty.

Po prostu siedział plecami oparty o skałę, z dłońmi zaciśniętymi na drzewcu swojej *sykhe*<sup>iii</sup>, i czuwał.

\*\*\*

Logan Zolt odpalił *kleur*, błękitny znacznik przygotowany przez Zwierzomysła na takie właśnie okazje. Kolorowy dym uniósł się wąską strużką. Myszołowy, których oczyma czarodziej potrafił śledzić górski teren, powinny bez problemu odnaleźć miejsce, gdzie przebywali. Władca chowańców był w tej sytuacji jedynym możliwym wsparciem.

Myszołowy wykonały swoje zadanie. Do skalistego wzniesienia, gdzie czatowali krasnolud, Solosjanin, rycerz i jego giermek, po około dwóch godzinach dotarł ptak. Duży, czarny kruk o imieniu Vincenzo przyniósł wiadomość. Krasnolud wydobyl zwitek papieru ze skórzanego pokrowca przywiązanego do ptasiej nogi. Nie obyło się bez problemów.

– Widziałeś to, Am? – warknął Logan, gdy kruk dwukrotnie próbował go dziobnąć. – Mam nadzieję, że mnie wesprzesz, jak wezmę Zwierzomysła w obroty. Powinien lepiej się postarać w kwestii tresury. To pierzaste straszdyło nie do końca chyba rozpoznaje przyjaciół i wrogów.

– Jasnym jest, że kruk nie jest niczemu winien – zawyrokował Amhar. – Jeszcze nie został nań wykonany rytuał. To po prostu zwykłe, acz bardzo mądre i dosyć charakterne stworzenie.

– Oczywiście, że to nie jego wina – sapnął Logan i spojrzął na ptaka z wściekłością. – W innym przypadku już dawno skreśliłbym mu łeb.

Amhar delikatnie dotknął dłonią głowy Vincenza. Ten najpierw zaskrzeczał, a po chwili wydał z siebie dziwny odgłos. Krasnolud nie był pewien, ale przypominał mu on jakieś niewyraźne słowa.

– Zwierzomysł uczy go gadać, zamiast wpoić mu podstawy. – Logan westchnął i obejrzał skrawek papieru, który chwilę wcześniej rozwinął. – Idealnie – mruknął z zadowoleniem. – Mam wskazówki, jak dotrzeć do naszego szlaku i do punktu spotkania.

– Orkowie? – Solosjanin zawiesił głos.

– Są w tamtej dolinie. – Krasnolud wskazał dłonią kierunek. – Jest spora szansa, że ich unikniemy. – Potarł dłonią bok wygolonej głowy. – Tylko szybko i sprawnie, i po robocie.

– Mam im coś odesłać?

– Tylko potwierdź, że wszystko jest dla nas jasne.

Kiedy Amhar zajął się pisaniem wiadomości zwrotnej, Logan zbliżył się do rannego. Ingo z Geinriz mógł chodzić i był przytomny, ale wyglądał kiepsko. Miał paskudne obrażenia. Stracił prawe ucho, a rana ciągnęła się przez policzek aż do ust. Rycerz nie mógł mówić prawie wcale, wybełkotał tylko podziękowania, gdy się spotkali wczorajszego wieczora. Teraz porozumiewał się wyłącznie ruchami głowy.

– Musimy iść. – Krasnolud powiedział to wolno, patrząc w oczy szlachetnie urodzonego. – Wiem, że dacie radę, panie, tylko żeby było łatwiej, słuchajcie, co do was mówię. Przez całą drogę. I wszystko dobrze się skończy.

Szlachcic ze zrozumieniem pokiwał głową, później ruchem podbródka wskazał na swojego sługę. Logan uśmiechnął się delikatnie.

– I jemu też nic nie będzie. Dobrze się wami opiekował. Nie minie go nagroda, jak mniemam. – Spojrzał na chłopaka. Miał z czternaście wiosen, piętnaście najwyżej. Na jego twarzy widać było zmęczenie, ale w oczach tliły się iskierki zawziętości. – Dobry materiał na rycerza.

Ingo z Geinriz odetchnął pełną piersią i pojaśniał na twarzy. Potaknął.

– Hm... – odezwał się Amhar, a kiedy krasnolud spojrzał w jego kierunku, dokończył: – Czy życzysz sobie sam odesłać naszego Vincenza?

– Ach, weź sprzed moich oczu tę pokrakę! – warknął Logan Zolt. Miał zamiar dorzucić jeszcze jakieś przekleństwo, wstrzymał się jednak, popatrzył na rycerza i jego giermka, po czym przeniósł wzrok na Solosjanina. Kruk przycupnął na ramieniu potężnego wojownika.

Krasnolud dokończył spokojnie:

– Albo po prostu wypuść naszego przyjaciela. Niech bezpiecznie wraca do domu. Nas czeka trudniejsza przeprawa. Ale cel mamy ten sam.

– Prawda. – Amhar rozciągnął usta w uśmiechu.

\*\*\*

Pod koniec dnia lało już niemiłosiernie. Vant<sup>iv</sup> do spółki ze swym ziomkiem Bluiusem, zrzucali na świat i na swoich podopiecznych olbrzymie ilości wody. I na nic zdawały się modły i błagalne dary. Żeby być sprawiedliwym, Ivko zwany Bieluchem musiałby jednak przyznać, że zwracał się do Patronów poprzez modlitwę dawno temu. Zbyt dawno, widać. Mężczyzna mókł w oczekiwaniu na czwórkę wędrowców. I przeklinał pod nosem. Sprawy układały się nie po jego myśli, właściwie nie po myśli wszystkich Szeptowników. Ich bitewny czarodziej Skwar udał się do stolicy, wykonując kolejną ze swoich tajemniczych misji. Ich drużynę zwiadowców, ludzi doskonale obeznanych z trudnym terenem, przejął na pewien czas rozenbroński<sup>v</sup> możny. Przydaliby się podczas poszukiwań, oj, przydali. Ich...

„Ech, zamknij się”, skarcił sam siebie w myślach, „przecież poszukiwania zakończyły się sukcesem, a dobrą stroną cholernej całodzienniej ulewy jest całkowity brak jeszcze bardziej cholernego słońca”. Słońca, które tak dotkliwie szkodziło jego mlecznobiałej skórze. Pokręcił głową i przeklął w duchu. „Cóż począć, z wiekiem wyłazi ze mnie zrzęda i pesymista”.

Stojący z lewej Zwierzomysł wydał jeden ze swoich dziwacznych, ptasich odgłosów, a gdy Ivko spojrział nań, ten wskazał ruchem głowy na rząd drzew po przeciwnej stronie polanki. Wyszli spomiędzy nich czterej ludzie. Było jeszcze na tyle widno, że można było dostrzec malujące się na ich obliczach dobre samopoczucie. A przynajmniej na twarzach dwóch z nich.

Niski i przysadzisty Logan Zolt człapał w ciężkich butach, a mokre kołtuny na czubku jego wygolonej głowy, zwykle zadziornie sterczące w górę, przykłyły i śmiesznie przywarły mu do lewej strony czaszki. Ivko prawie uśmiechnął się na ten widok. Krasnolud rechotał rozbawiony czymś, co usłyszał od idącego obok wysokiego i ciemnoskórego Amaranta. Uśmiechnięty Południowiec w lewej dłoni trzymał swoją broń, drzewce z obu stron zakończone długimi ostrzami – dziwaczna i śmiertelnie niebezpieczna *sykhe*. Prawym ramieniem wspomagał rycerza idącego obok ociężałym krokiem. Szlachcic był ranny, ale – jak wspomniał w swoim liście Amhar – rana nie zagrażała jego życiu. Był po prostu piekielnie zmęczony. Z tyłu za mężczyznami snuł się kilkunastoletni chłopak, zapewne sługa rycerza. Niósł na ramieniu tobolek i długi miecz w zdobionej pochwie.

Wyszli im na spotkanie, on i trzech tarczowników od Hageduffa, chłopaków ubranych w skórzane bojowe kubraki. Spotkali się pośrodku polany obok dwóch potężnych omszałych głazów.

– Witam wesołą kompanię – odezwał się Ivko Bieluch, głośno, starając się przekrzywić deszcz szumiący pośród drzew. – Jak na swawolnym radosnym letnim jarmarku, co?

Zolt zrobił głupią minę, a Amarant w momencie przestał się uśmiechać i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Ależ, panie rotmajstrze<sup>vi</sup>, nie śmielibyśmy tracić koncentracji, gdyby w okolicy nie było bezpiecznie.

Tym razem to Ivko wykrzywił usta i zamrugał oczami, z których wycierał całkowity brak zrozumienia.

– No tak, niezbyt jasno się wyraziłem – stwierdził Amarant. – Chodzi o to, że kilkadziesiąt kroków na północ stąd spotkaliśmy Dantariego, a on zarzekał się, że teren jest bezpieczny...

– Więc – mruknął krasnolud – Am postanowił zabawić nas rozmową, bo przez cały dzień wędrowaliśmy w ciszy, coby nie wkurwić orków wałęsających się przed nami, za nami i obok nas.

Ivko odetchnął głęboko i nie odezwał się. Przeniósł wzrok na twarz szlachcica. Gestem przywołał tarczowników. Dwaj z nich ujęli rycerza pod ramiona.

– Witaj, szlachetny panie. – Ivko lekko skłonił głowę. – Szczęśliwy jestem, mogąc cię ujrzeć... żywym.

Szlachcic skinął, delikatnie przymykając powieki. Przemoczony opatrunek na jego twarzy wyglądał paskudnie.

– Jestem rotmistrzem Szeptowników, grupy najemnych, której przewodzi... Komendant. A zwą mnie Ivko Bieluch.

Kolejne skinienie.

Ruszyli w stronę południowego krańca polany.

– Teraz już będzie łatwiej. Orkowie nie ruszą w dół doliny, nasz szlak jest bezpieczny. Jest nas także więcej. Mam w lesie strzelca i jeszcze dwóch chłopaków od tarcz. – Ivko zasypywał rycerza krzepiącymi, jak mniemał, informacjami, pamiętając słowa Komendanta. Szlachetnie urodzony Ingo z Geinriz był cenny dla swojej rodziny. Im lepiej się poczuje podczas ratunku i im więcej dobrego powie na temat swoich wybawców, tym więcej złota pojawi się w skarbczyku Roty. Rotmistrz pamiętał też, by uważnie wyrażać się w kwestii ich magika. Wszak szlachta sudlandzka, z której pochodził rycerz, była wierna cesarskiej władzy, a ta oficjalnie piętnowała sztuki czarodziejskie. Więc dokończył: – A tam, pod lasem, to nasz ptasznik i treser. Specjalista od przekazywania wieści, by tak rzec.

Giermek, słysząc to, delikatnie się uśmiechnął. Ivko mrugnął do niego okiem i ucieszył się w duchu: „Ha, nawet i chłopaka udało się rozweselić. Coś takiego... Może jednak nie czeka mnie, na starość, zgorzknienie” ...

Trzask! Dźwięk gruchotanych kości.

Ivko Bieluch rozejrzał się zdumiony. Tarczownicy podtrzymujący szlachcica zachwiali się. Jeden z nich zatoczył się w lewo, chwytając dłońmi za czoło, drugi dziwnie przylgnął do rycerza.

– Psia mać! – Rotmistrz zrozumiał, co się wydarzyło, ale nie potrafił pojąć dlaczego. Szarpnął za rękojeść miecza.

Zaatakował ich Ingo z Geinriz.

Z niespodziewaną szybkością i niewytłumaczalną, biorąc pod uwagę okoliczności, siłą cisnął trzymanym żołnierzem dobre kilka kroków w bok. Odwrócił się i wyszarpał miecz z pochwy trzymanej przez zaskoczzonego giermka. Chłopak potknął się i runął na mokrą trawę.

Pierwszy cios spadł na ogłuszonego tarczownika, wciąż przyciskającego ręce do głowy. Rycerz odrąbał mu dłoń w nadgarstku i trafił go w szyję. Krew chlusnęła dookoła. Drugie uderzenie było wymierzone w Amaranta.

Południowiec przyjął cios na jedno z ostrz. I skontrował – drzewcem grzmotnął przeciwnika w głowę. Łup! Ale trafiony nawet nie zwolnił, jakby nie poczuł uderzenia. Dwa kroki dalej dopadł krasnoluda.

Logan uniknął zamaszystego ciosu, odchylając się w lewo. W tym czasie Amarant po raz drugi trafił Inga z Geinriz w głowę.

I nic.

Krasnolud ustawił się odpowiednio i był gotów do zadania śmiertelnego ciosu bojowym młotem. Zamierzył się.

– Nie... zabijaj!!! – rozdarł się Ivko Bieluch.

Chrup! Krasnoludzki oręż trafił rycerza w okolice lewego kolana, a impet ciosu podciął mu obydwie nogi. Zolt wskoczył przewróconemu na pierś i trzymając broń za trzonek dwiema rękami, przytknął mu go do szyi. Amarant stanął butem na prawej dłoni pokonanego.

Ivko podbiegł i otworzył usta, pochylając się nad twarzą leżącego. Naszły go niepokojące myśli: „Oblicze zupełnie bez wyrazu. I te oczy... Przekłete oczy: puste, zimne i jakby pozbawione życia”.

Nagle ktoś zawył nieopodal.

Rotmistrz przetarł mokrą twarz i odnalazł wzrokiem Zwierzomysła. Czarodziej wił się na ziemi, krzycząc z bólu. Próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

– Co? – Ivko ruszył w jego stronę. – Co się dzieje, do cholery?

Zwierzomysł jęknął, wyprężył się, z ogromnym wysiłkiem uniósł się na łokciu i wrzasnął:

– Czar... no... księż... nik!!! Kurwaaa!!!

Ivko zamrugał z niezrozumieniem, szukając niebezpieczeństwa. I nagle spostrzegł, że całą polanę zaczynają wypełniać kłęby czarnej mgły. Logan Zolt kłął, któryś z tarczowników wrzeszczał, a Zwierzomysł nadal wydawał z siebie jęki bólu.

Zrobiło się zupełnie ciemno, deszcz wydawał się dziwnie ciepły, a nogi stały się niezwykle ociężałe.

„Myśl, Bieluchu. Albo módl się chociaż” ...

Wtedy do uszu rotmistrza dotarł śpiew. Głos był niski, przy tym niezwykle czysty. I przywodził na myśl odległe, egzotyczne kraje. „Amarant?”

Przez ciemność zaczęło przebijać się światło o niezwykłych promieniach, jakby pośrodku polanki zrodziło się miniaturowe słońce. Niebawem dostrzec można było postacie.

W centrum światła znajdował się rosły Południowiec. Śpiewał, zapewne modląc się. Krasnolud przycupnął obok, nadal unieruchamiając wijącego się na trawie szlachcica.

– Chłopak, głupcy... – Głos Zwierzomysła dobiegał gdzieś z oddali. – To ten cholerny gówniarz.

Ivko dostrzegł giermka na krawędzi światła i mroku. Młodziak wyglądał na wściekłego, twarz miał zaciętą, a jego oczy płonęły nienawiścią. Klęczał, a w dłoniach... W dłoniach ścisnął pęki czarnych piór.

Rozrzucił je, wykonując szeroki ruch ręką.

W miejscach, gdzie pióra spadły na mokrą pogniecioną murawę, pojawiły się przedziwne kształty, jakby stworzone z dymu. Wyginały się, raz w jedną, raz w drugą stronę. Pośród oparów unosiły się drobinki czarnego pierza. Nawet Ivko, choć niewyuczony w czarodziejskiej sztuce, wyczuł w powietrzu niezwykle silną mroczną aurę. W następnej chwili widmowe postaci przeistoczyły się w ludzi – niskich i wychudzonych. Ich kończyny, tułowia i głowy owinięte były kawałkami czegoś, co przypominało czarne bandaże.

Ivko Bieluch zamarł. Jego całe ciało ogarniała dziwna niemoc, a deszcz tłukł niemilosiernie. Rotmistrz pokręcił głową i przetaił oczy wierzchem dłoni.

Istoty rzuciły się do ataku.

\*\*\*

Głowica młota bojowego z chrzęstem zagłębiła się w czaszce ostatniego ze straszyleł. Tak to przynajmniej wyglądało. Logan Zolt splunął pod nogi i zdjął stopę z piersi istoty odzianej na czarno. Dotknął swojej twarzy, pokrytej licznymi ranami zadanymi przez przekłute czarne pióra, i rozejrzał się.

Deszcz jakby zelżał, ale padał nadal. Po magicznej mgle nie było śladu, ale światło dnia już dawno zniknęło. Nad okolicą zapanowała noc. Niezwykły czarodziejsko-modlitewny blask bijący od piersi Amhara bladł już, co uspokajało krasnoluda. „Znać, że wrogów nie ma w pobliżu, a zwycięstwo jest nasze”.

Bez Solosjanina mogło być z nimi krucho. Logan nie wierzył w żadne z bóstw, a każde nadnaturalne działanie uznawał za sprawkę czarodziei. Co prawda Amarant zarzekał się, że magiem nie jest, jeno sługą Słonecznej Bogini, ale krasnolud pozostawał nieprzekonany.

Pał licho jak, ale to coś jakby światło słoneczne przywołane przez Solosjanina, poważnie osłabiło czarnoksiężnika i spowolniło jego sługi. Dwóch nawet unicestwiło. Resztę musieli zrobić stalą i pięściami. Pokraczne, wychudłe stwory atakowały, wręcz rzucając przed siebie ostrymi jak sztylety piórami, próbowały pochwycić członków Roty w objęcia. Zrobił się niezły bajzel. Teraz dobre dwa tuziny pokonanych wrogów leżały na zrytej stopami murawie.

Krasnolud szybko zlustrował okolicę i ocenił sytuację. Ich rotmajster, Bieluch, oparł się plecami o jeden z głazów na środku polany – jego blada skóra zdawała się jeszcze bielsza



niż zwykle. Był lekko ranny w lewą rękę, pomagał mu jedyny ocalały tarczownik. Amhar nie odniósł żadnej kontuzji – jak zawsze. Trzech pozostałych chłopaków od tarcz nie przeżyło, jednego dorwał wcześniej rycerz. „Psiamać”. Ten szlachetnie urodzony drań leżał nie dalej niż kilka kroków od głązów – Logan trzasnął go porządnie, jak tylko zaczęła się przeprawa z mrocznymi.

„Ciekawe, czy nie zrobiłem tego za mocno”, zastanowił się. Wściekłość, którą wtedy czuł, teraz wyparowała. Podrapał się po głowie. Prawie zaczął się tym martwić, kiedy jego wzrok padł na czarnoksiężnika.

Nad ciałem chłopaka pochylały się dwie postaci: ich mag Zwierzomysł, władca Chowańców, i ich strzelec – Dantari, pół-shaeid z Metinny. To łucznik załatwił sprawę. Z szyi mrocznego czarodzieja sterczała strzała.

Logan ruszył w kierunku dowódcy. W międzyczasie do omszałych kamieni zbliżyli się także Amarant i Dantari. Mag nadal badał ciało czarnoksiężnika.

Ivko Bieluch mrużył oczy i poprawił przemoczony kapelusz.

– Koniec?

– Na to wygląda – odezwał się Dantari.

– Czarny?

Strzelec pokręcił głową, a rotmajster wykrzywił usta.

– Nie było czasu, szefie – mruknął pół-shaeid, próbując się usprawiedliwić. – Zwierzomysł mówi, że to i dobrze, bo cholera wie, co jeszcze mógł na nas rzucić.

– Niby racja – odezwał się Logan.

– Stworzenia nocy. – Amhar kucnął, złożył dłonie i przytknął końcówki palców do czubka nosa. – Szybkie, zręczne i... niepokojące.

Krasnolud fuknął z niezrozumieniem:

– Chlastałeś je aż miło, Am. Zresztą ja też jakoś nie miałem problemów.

– Zamilcz, Zolt – rzucił Bieluch. – Inni nie mieli tyle szczęścia. – I dodał: – Lepiej mów, co z Geinrizem.

– A niech mnie... – Logan zmarszczył brwi. – Trzepnąłem go, ale muszę sprawdzić, jak mocno.

– No to lepiej się dowiedz.

Logan westchnął i ruszył w kierunku miejsca, gdzie leżał rycerz. Nie siląc się na delikatność, odwrócił go na plecy i zaczął oglądać. Szlachcic oddychał. Krasnolud przerzucił mężczyznę przez ramię i zaciągnął go na środek polanki. Potem ruszył do ciał tarczowników i przeniósł je w jedno miejsce. Ze złością uderzył się kilka razy pięścią w wygolony bok głowy, patrząc na oblicza poległych.

„Inni nie mieli tyle szczęścia”. Słowa rotmajstra zabrzmiały mu wewnątrz głowy. „Racja, psiakrew”, pomyślał.

Kiedy wrócił pod kamienne głązy, z Bieluchem i Amaranem rozmawiał Zwierzomysł. Dantari i tarczownik oddalili się dokądś.

– Co z rycerzem? – zapytał. – Wyżyje?

Mag popatrzył na Logana krzywo. I odezwał się:

– Macie iście kamienną pięść, panie Logan. I z podobnego materiału, zdaje się, natura stworzyła wam rozum.

Amhar uśmiechnął się i po przyjacielsku klepnął krasnoluda w ramię. Logan chciał coś powiedzieć, ale Zwierzomysł powstrzymał go ruchem uniesionej dłoni.

– Ale od niewątpliwie istotnych kwestii finansowych ważniejsza wydaje się sprawa tego czarnoksiężskiego szpiega.

– Że jak?

– A tak, szpiega. Bo wychodzi na to, że sprytny czarny mag udawał giermka po to, by dostać się do otoczenia szlachetnie urodzonych dowodzących kampanią przeciw Wrońcowi.

– Wysłali go doradcy Corvusa? – zdumiał się Ivko Bieluch. – Bo chyba nie sam Wroniec?

– Nie wiem nic ponad to. Dantari ustrzelił go szybko i precyzyjnie, tak jak był poinstruowany, kiedy idzie o zabijanie magów. – Zwierzomysł odetchnął głęboko i dodał: – Za co zresztą powinniśmy mu wszyscy mocno podziękować. Czarnoksiężnik miał dostęp do solidnej wiedzy i poważnego wsparcia: zastosował Cieniste Przejście, by sprowadzić sobie pomocników, nieźle mi przyłożył na początku, prawie mnie dopadł. – Zamyślił się. – Gdyby nie moje myszolowy, może nie stałbym teraz przed wami. – Pokręcił głową. – No i kontrola umysłowa.

– Rycerz... – Logan pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Z tym może być związany jeszcze jeden problem, ale o tym później, bo i tak nie mamy na to wpływu.

– Wyrazisz się jaśniej, panie czarodzieju? – Krasnolud poczuł się nagle odpowiedzialny za szlachetnie urodzonego Ingo z Geinriz.

Mag skrzywił się z niezadowoleniem i otworzył usta, by odpowiedzieć, ale z lasu dobiegł właśnie wyraźny odgłos nocnego ptaka.

– Zbieramy się. Żwawiej. – Ivko Bieluch podniósł się, wspierając na ramieniu Amaranta. Chwycił swoją broń i zaczął wydawać rozkazy: – Zolt, ruszaj za Zwierzomysłem. Musisz zabrać ze sobą zwłoki tego czarnoksiężnika, obejrzymy go sobie dokładnie, jak wrócimy.

– Nasi tarczownicy...

– Cholera, Zolt, przecież masz świadomość, że nijak nie zdążymy ich pochować.

Krasnolud zacisnął usta.

– Trusso. – Rotmajster wskazał na tarczownika, a ten skinął głową. – I ty, Amarant, zabierzcie rycerza. Idę za wami, a Dantari zamyka. – Odetchnął i dodał: – Oby Trzynastu dało nam bezpieczny szlak.

Logan Zolt splunął. Odszukał zwłoki i zarzucił je sobie na ramię, po czym dołączył do wyruszających. Usłyszał jeszcze, jak Zwierzomysł ustala szczegóły marszu z Ivkiem Bieluchem:

– Będę z przodu – mówił magik. – Postaram się wybrać najlepszą, najszybszą trasę. Jest naprawdę mała szansa, że czarny mógł zawiadomić orków będących w okolicy.

– Ten czarnoksiężnik... To był... hmm... – Rotmajster szukał słowa. – Myślun?

– Tak, tak – potaknął Zwierzomysł i dodał, uśmiechając się: – Tak nazywacie ich za Jalomica, w krainach Estii. Na cesarskich ziemiach znamy ich raczej jako Opiekunów Myśli lub Władców Umysłów.

– O, to brzmi groźniej... i poważniej...

– Może i tak, ale ten chłopak był młody i spanikował, gdy stało się jasne, że mogę go zdemaskować. Pewnie bym tego nie zrobił, ale przecież nie miał pojęcia, jakimi mocami władam. Był sprytny, ale niedoświadczony. Stąd wniosek, że nie był bitewnym magiem wspomagającym okoliczne komanda. Jeśli miałbym obstawiać, to powiedziałbym, że to raczej jeden z wielu wysłanych, by zrobić rozpoznanie.

– Zdołał przesłać jakąś informację?

– Obawiam się, że zdołał... Gdzieś tam, w górach, jakiś jego opiekun lub mistrz postanowi, co zrobić z tą wiedzą.

– To nie wygląda dobrze – stropił się Bieluch. – Najpierw Wronie Bractwo zbierało siły, zbroiło orków... Teraz zbiera informacje... Rozpoznanie wykonuje się przed walką...

– Ano. – Zwierzomysł pokiwał głową i położył dłoń na ramieniu dowódcy. – Będę z przodu. – I szybkim krokiem ruszył w kierunku południowej ściany lasu.

Logan Zolt poprawił ułożenie ciała czarnoksiężnika na ramieniu i podążył w ślad za czarodziejem.

*Do grafa Geinriz.*

*Szlachetny Panie, piszę do Was, by przekazać pomyślne nowiny. Syn Wasz, szlachetny Ingo z Geinriz został odnaleziony.*

*Pięć dni po jego bohaterskiej walce z silnym orczym komandem, stoczonej na północ od wzniosłości, którą miejscowi nazywają Żebraczą Połonią, najemnicy przywieźli go do obozowiska wojsk sudlandzkich. Pospieszyłem z zorganizowaniem mu jak najlepszej opieki.*

*W walce z siłami Mroku, syn Wasz odniósł rany, co dodatkowo przysparza Wam, Szlachetny Panie, powodów do dumy. Wiedząc, że cenicie sobie, Panie, szczegółowe informacje, spieszę donieść, iż syn Wasz ranny został w dłoń i twarz, a leczenia wymaga także jego noga.*

*Pragnę także donieść Wam, że zadbałem o jego szybki powrót do równowagi umysłowej, gdyż trudy walki i samotna tułaczka przez leśne ostępy nadwyrężyły stan jego zmysłów. Nie złamały jednak jego ducha i wiary w Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie. Z pomocą służących i kapłana, odbywa codzienne modlitwy. I Was, Panie, proszę w jego imieniu o ofiary i modły do Albusa, Patrona Zdrowiejących<sup>vii</sup>.*

*Nie wiem, Szlachetny Panie, kiedy możliwy będzie transport Waszego syna do rodzinnego domu w Sudlandzie, gdyż uzdrowiciele nie godzą się nań jeszcze. O tym napiszę niebawem.*

*Z radością informuję Was, Panie, że syn Wasz zadbał, aby rodowy oręż, miecz Geinrizów, nie wpadł w ręce wroga. Wasz honor jest bezpieczny. Niestety, rumak jak i cały poczet Waszego syna zostały stracone.*

*Co do ustaleń dotyczących wynagrodzenia za pomoc w odnalezieniu Waszego syna, pragnę donieść, iż najemny oddział, pracująca dla księcia Rozenbronn, nazywany tutaj Szepcą Rotą, otrzymał wynagrodzenie według określonych wcześniej zasad. I oni również podkreślają bohaterstwo i hart ducha Waszego syna.*

*Na tym kończę, przesyłając pozdrowienia dla Was, Panie, i dla Waszej Małżonki. I pozostaję do Waszej dyspozycji, bezustannie trwając w modlitwie za Wasz Ród i przede wszystkim za pomyślne wyzdrowienie Waszego syna, szlachetnie urodzonego Inga z Geinriz.*

*Podpisano:*

*Baron Signus z Ludemark,  
Wysłannik księcia Sudmaru*

---

<sup>i</sup> *Solosjanie* – tajemniczy lud zamieszkujący południowo-wschodnie tereny Kontynentu, wywodzący swoje pochodzenie od starożytnego królestwa rządzonego przez władców Solb-Solos (Słonecznego Miasta).

<sup>ii</sup> *Sudland (Księstwo Sudlandu)* – kraj uznający władzę zwierzchnią cesarstwa.

<sup>iii</sup> *Sykhe* – rzadko spotykana broń łącząca cechy kilku innych; posiada drzewce, z dwóch stron, zakończone długimi klingami, przypominającymi ostrza kos bojowych; używana na południowo-wschodnich terenach Kontynentu.

<sup>iv</sup> *Vant* – Jeden z Trzynastu, Pan Przeszłości, jedno z mniej ważnych bóstw panteonu cesarskiego, czczony bardzo często wspólnie z Bluiusem (Navalesem), Panem Mózgów.

<sup>v</sup> *Rozenbronn (Księstwo Rozenbronn)* – kraj uznający władzę zwierzchnią cesarstwa.

<sup>vi</sup> *Rotmistrz (Rotmistrz)* – popularne określenie dowódcy (lub jednego z dowodzących) oddziału najemników, używane głównie na terenach księstw cesarskich.

<sup>vii</sup> *Albus* – Jeden z Trzynastu, jedno z bóstw panteonu cesarskiego, Pan Życia, Patron Zdrowiejących, opiekun uzdrowicieli i medyków.